

665
TEATR
ANDRZEJ HAUSBRANDT

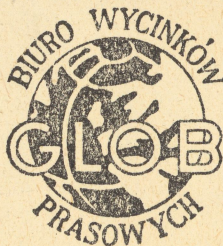
MIŁE ZŁE

No i znowu kończy się kolejny rok szkoleń, ale i egzaminy za pasem. Także egzaminy kulturoznawczych. Zbliża się pora koś wycinków wydawanych przez nieszczęsnych redaktorów przed nimi tzw. wrota wyższych

Parę dni temu miałem w Katowicach (lub dokładniej: zapaleńczy) teatralną teatrologię warszawską (PWST) i krakowską i do czego ma im być ta wiedza potrzebna będzie dobrze głową pokręcić, bo

nie pomogły przestrogi, najbardziej ponure obrazy tłoku w zawodzie (kształcimy teatrologów w tempie około 60 magistrów rocznie, czyli średnio co 6 dni jeden, nie pomogły słowa i przykłady. Wiem, że znów kolejna partia dziewcząt odpłynie ku teatrolologii by wzmocnić trend feminizacyjny w krytyce (proszę zauważyć, że teraz już tylko panie parają się tą dziedziną dziennikarstwa, jeśli nie liczyć paru coraz mizerniej wyglądających panów i kilku szanownych emerytów dorabiających do renty).

Nic nie powstrzyma następnych kilkudziesięciu Polek przed rzucając się w otchłań teatrolologii na podobieństwo zbiorowego samobójstwa pewnego gatunku małych gryzoni, które raz po raz stadnie skaczą w toń morską, by nigdy już z niej nie wypłynąć. Trudno, krzyżyk na drogę. „Volenti non fit iniuria” – powiadali starożytni i pewnie mieli rację. Ostatecznie nie takie rzeczy jak furor theatrolologicus znamy z historii. W średniowieczu całe wsie popadały w szaleńca i ludziska tak długo kręcili się i skakali póki nie wycieńčili ze zmęczenia ducha, zostawiając spadkobiercom nienaruszoną substancję majątkową, czyli domy, inwentarz ciuchy. W latach trzydziestych ogarnął Europę i Amerykę obłęd jo-jo; dwóch osadzonych na wspólnej osi krążków, wokół której nawinięty był sznurek. Trzymając całe urządzenie za ów sznureczek łatwo było wprowadzić je w ruch obrotowy i tak krążki wirując nawijały się na sznurek, wędrując w górę, by następnie opuścić się ku dołowi. Można było to robić godzinami. Zupełnie bez sensu, a miliony „grały w jo-jo”. Jedyny pożytek z tej zabawy odnieśli spryciarze fabrykujący „skomplikowane” urządzenie. Zresztą podobny amok, choć o znacznie skromniej-



Prasowe
Wydawnictwo
Dokumentacyjne
RSW „P-K-R”

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

WIDNOKRĘGI
Warszawa ul. Rajców Nr 10

wydanie

Nr 6 z dn. -06-78

RSW „PKR” ZG C-nów z 307-78 (10 000 000)

665
TEATR
ANDRZEJ HAUSBRANDT

MIŁE ZŁEGO POCZĄTKI

No i znowu kończy się kolejny rok szkolny i zbliża ku końcowi rok akademicki. Wakacje, ale i egzaminy za pasem. Także egzaminy w szkołach artystycznych i na kierunkach kulturoznawczych. Zbliża się pora kośby reporterskiej: spisywania tysięcznych głupstw wygadywanych przez nieszczęsnych maturzystów na egzaminach wstępnych otwierających przed nimi tzw. wrota wyższych uczelni.

Parę dni temu miałem w Katowicach spotkanie z grupą młodocianych zapaleńców (lub dokładniej: zapaleńczy) teatralnych. Kilka moich słuchaczek już wybierało się na teatrologię warszawską (PWST) i krakowską (UJ) bez bliższego sprecyzowania dlaczego i do czego ma im być ta wiedza potrzebna. I nie pomogły moje ostrzeżenia, że potem trzeba będzie dobrze głową pokręcić, by coś z nabytymi umiejętnościami w życiu robić, nie pomogły przestrogi, najbardziej ponure obrazy tłoku w zawodzie (kształcimy teatrologów w tempie około 60 magistrów rocznie, czyli średnio co 6 dni jeden, nie pomogły słowa i przykłady. Wiem, że znów kolejna partia dziewcząt odpłynie ku teatrologii by wzmocnić trend feminizacyjny w krytyce (proszę zauważyć, że teraz już tylko panie parają się tą dziedziną dziennikarstwa, jeśli nie liczyć paru coraz mizerniej wyglądających panów i kilku szanownych emerytów dorabiających do renty).

Nic nie powstrzyma następnych kilkudziesięciu Polek przed rzuceniem się w otchłań teatrologii na podobieństwo zbiorowego samobójstwa pewnego gatunku małych gryzoni, które raz po raz stadnie skaczą w toń morską, by nigdy już z niej nie wypłynąć. Trudno, krzyżyk na drogę. „Volenti non fit iniuria” – powiadali starożytni i pewnie mieli rację. Ostatecznie nie takie rzeczy jak furor theatrologicus znamy z historii. W średniowieczu całe wsie popadały w szal tańca i ludziska tak długo kręcili się i skakali póki nie wycieńčili ze zmęczenia ducha, zostawiając spadkobiercom nienaruszoną substancję majątkową, czyli domy, inwentarz ciuchy. W latach trzydziestych ogarnął Europę i Amerykę obłęd jo-jo; dwóch osadzonych na wspólnej osi krążków, wokół której nawinięty był sznurek. Trzymając całe urządzenie za ów sznureczek łatwo było wprowadzić je w ruch obrotowy i tak krążki wirując nawijały się na sznurek, wędrując w górę, by następnie opuścić się ku dołowi. Można było to robić godzinami. Zupełnie bez sensu, a miliony „grały w jo-jo”. Jedyny pożytek z tej zabawy odnieśli spryciarze fabrykujący „skomplikowane” urządzenie. Zresztą podobny amok, choć o znacznie skromniej-

szym zasięgu powtórzył się w latach pięćdziesiątych: hula-hop czyli wirująca nad pupą obřęcz.

Skuszanka wystawiła w Krakowie „Akropolis” Wyspiańskiego. Czysty masochizm. Sztuka mętna, niezborna, nic dziwnego, że Kotarbiński odrzucił ją. Miał rację. Ale od tego czasu Wyspiańskiego awansował na czwartego (lub piątego jeśli doliczyć i Norwida) wieszczów więc wystawia się go z narodowego obowiązku. Skuszanka posłuchała głosu obowiązku i wystawiła. Spektakl jest ponad tekst, ponad własną meandryczność myślową, ma partie wręcz kapitalne (zwłaszcza w II części, oraz funkcjonowanie dalszych planów), odznacza się dyscypliną intelektualną. Ale spektakl poprzedziła plotkarska fama. Oto miast starej (popularniejszej chyba w Krakowie od ołtarza Wita Stwosza) kurtyny Siemiradzkiego na „Akropolisie” zobaczymy rekonstrukcję kurtyny zaprojektowanej przez Wyspiańskiego. Kurtyny, która także została ongiś zdyskwalifikowana.

No i według zachowanego szkicu pracownie teatru Słowackiego wykonały własnoręczny zamysł mistrza, co przede wszystkim pozwoliło przekonać się naocznie, iż i w tym wypadku, niegdyś negatywna decyzja dyrekcji teatru była słuszna. Kurtyna jest do kitu. Ale zanim to wszystko się stało, życzliwa prasa rozrabiła, że kurtyna będzie stanowić „clou” spektaklu. I teraz, biedna Skuszanka została wzięta w dwa ognie: malunek do niczego, publiczność czeka. Co robić? Trzeba kurtynę pokazać. Tylko jak, żeby nie było jej widać? Najprzód prószono, potem podświetlano, wreszcie zadymiano. Wszystko na nic. Albo kiks plastyczny wyłąził w całej okazałości, albo mgły kadzidlane snuły się po sali wywołując kaszel i kichanie PT. Publiczności. Pozostało już tylko jedno wyjście: oświetlić od tyłu tak, aby nic prawie nie było widać. No i w ten sposób oglądaliśmy projekt Wyspiańskiego.

– A nie mogłaś zdjąć? – spytał Skuszanki.

– Nie mogłam, przecież z życzliwości o tym napisali. Ludzie czekają na kurtynę Wyspiańskiego.

A swoją drogą warto ten „Akropolis” zobaczyć. Mimo kurtynki.

W pierwszych dniach wiosny, w ramach kuracji geriatrycznej, wybrałem się na pewien lokalny festiwal teatrów studenckich. Niegdysiejszą czołówkę zobaczyłem tam w charakterze „starej gwardii”, a o jakiejś premierze sprzed pięciu lat nikt nie chciał gadać, bo „kto by to pamiętał tamte czasy”. No i odmładałem się tak wśród studentów, czerpiąc jedyną pociechę z tego, że i mnie i Kłossowicza uważali oni za identycznych starych. Dobre i to. Ale na przyjemnościach rzecz się nie skończyła – trzeba było oglądać spektakle. I tak trafiłem na występ zespołu SGGW z Warszawy, który zaprezentował „Dwunastu” Błoka. Kiedy jeszcze przed rozpoczęciem zobaczyłem na ścianie element dekoracyjny w postaci chusty św. Weroniki à la ikona, a na scenie stół biesiadny à la Ostatnia Wieczerza – poczułem, że niebezpieczeństwo wisi w powietrzu. Rewolucyjny Chrystus rosyjskiego poety wsparty jarmarczną hagiografią i banalną symboliką – nie wróżyło to niczego dobrego.

Kiedy jednak potoczyła się akcja sceniczna, moje najgorsze przewidywania okazały się euforycznymi marzeniami optymisty. Za biesiadnym stołem Ostatniej Wieczerzy zasiadło paru zaprutyh alkoholików (no, po prostu bandziorów i dezerterów), którzy lejąc w gardła potoki wody i oblapiając wierzące się im na kolanach dziewczyny, bełkotali Błokiem. Wgniatano bučkami w ryszotki wspaniałą poezję, posługując się

artykulacją pijackich skeczy estradowej chałtury. Szczęściem morderstwo na radzieckim poecie dokonywało się w studenckiej piwnicy i uczestniczyłem w tym niegodnym akcie siedząc w głębi sali przy szklance czerwonego wina, jako że dzień był jak ułaj do toastów. Wino trochę znieczuliło mnie na rzeczywistość i dopiero kiedy wróciłem do hotelu, przypomniało mi się, że przed 11 laty studenci teje SGGW dali światową premierę „Nadobniś i koczokodanów” Witkacego. Tempora mutantur...

Właśnie na przedwiośniu, kiedy to przedwojenny chłop dzielił zapalkę na czworo (ale były zapalki – no nie? Spróbujcie dziś podzielić!), uczeni w piśmie witkacologzy pielgrzymowali do Jeleniej Góry na Ogólnopolską Sesję poświęconą naszemu retro-awangardystcie. Sesja była zresztą nie tylko ogólnopolska, ale nieomal globalna, jako że nie zabrakło na niej ani reprezentantów drugiej półkuli, ani erwupegowskich partnerów, ani ewugowskich konkurentów. Wszystko w nastroju koegzystencji i dobrego sąsiedztwa, mimo że z sąsiadów przyjechali tylko Czesi. Dość, że na Witkacy-jamboree okazało się, iż zabsurdyzowana rzeczywistość autora „niemytych dusz”, funkcjonuje trwale i bezbłędnie w dalszym ciągu. Co ciekawsze nie tylko na kartach jego dzieł, a i w życiu. Zwłaszcza tam, gdzie rzecz dotyczy właśnie Stanisława Ignacego.

Z jednej bowiem strony sypią się na witkacologów, niczym ziarno z rozprutego wora, sterty dokumentów, tekstów, listów, papierów – bezcenne archiwa dotyczące twórczości Witkiewicza, jego życia osobistego, jego poglądów, przyjaciół, obaw, trosk etc. Z drugiej zaś – znaczna część tych materiałów jest obwarowana czyimiś zastrzeżeniami, legatami, pajęczyną cywilno-prawnych zakazów i ograniczeń, tak że nie przystąpić bez kija. A właściwie bez porządnego wyposażenia dywersyjno-szpiegowskiego, niezbędnego dla przekonania się czy Nieboszczyk wołał wiśniówkę Baczewskiego czy monopolową „czystą”? Otóż, już po części oficjalnej, jeden z witkacologów, po dwóch butelkach „Żywieckiego” (full), zwierzał mi się jak cichcem dokonuje wypisów z dokumentów witkacowskich składowanych w dobrze strzeżonym sesamie bibliotecznym i wynosi ukryte notatki (niczym wykradzione plany operacyjne kwatery głównej NATP), by skleić z nich kolejny wybór tekstów dla PIW-u czy innego podobnie szanowanego i – o ile wiem – legalnego wydawnictwa. Otóż owe zabiegi, podchody, „skoki”, „akcje” i „operacje” odbywane w atmosferze „Tylko dla orłów” czy „Dział Navarrony” mające na celu zdokumentowanie życia artysty i ocalenia od zatury jego dzieła (właśnie poprzez publikację) dają świadectwo, iż zabawa w absurd łatwo przemienia się w koszmar absurdu. Bo w końcu chodzi nie o zdobycie sprawności harcerskich, ale utrwalenie wartości kulturalnych.

Tymczasem zaś liczba premier witkiewiczowskich na szerokim świecie (od Paryża po Honolulu) dobija liczby premier w ojczyźnie, a pierwsze czasopismo poświęcone mistrzowi „Czystej Formy” ukazuje się nie w Warszawie, Krakowie czy Zakopanem (co byłoby najslusniejsze), lecz w Lozannie. Tam też wydano po francusku 6-tomowy „Théâtre Complet” Witkacego. W Paryżu natomiast odbyła się ostatnio światowa prapremiera „Tumora Mózgowicza”. Już tylko (prócz dramatów nieodnalezionych) na podobne wydarzenia, choć niekoniecznie w Paryżu, czekają: „Korbowa” i „Niepodległość trójkątów”. A więc do dzieła panowie inscenizatorzy – każdy z was ma szansę na wpisanie się do historii teatru. Coraz mniejszą, ale zawsze!